

Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 7. Maja 1899.

Emerytura robotnicza w Anglii.

Są świadkowie dawniejszego trybu parlamentarnego życia, którzy ubolewają nad jego zwyrodnieniem i upadkiem, którzy udowadniają, że nie ma już obecnie genialnych przywódców, heroicznych zapasów, ani nawet oratorskich fajerwerków. Nie zaprzeczając częściowej słuszności temu krytycznemu spostrzeżeniu, trzeba przyczynę tego stanu rzeczy szukać w zmianie politycznych czynników, które dzisiaj w grę wchodzi. Nie tutaj jest miejsce zagłębiać się w takie studia nad nowymi warunkami parlamentaryzmu, ale warto pokazać, że nawet w dzisiejszym ustroju zdarzają się w parlamentach dramatyczne wypadki i pełne interesu starcia. Do takich należy bezspornie to, które zaszło na jednym z ostatnich posiedzeń parlamentu angielskiego pomiędzy takimi dwoma atletami oratorskimi, jak poseł Asquith i poseł Chamberlain w przedmiocie emerytury dla ubogich starców.

W czasie ostatnich wyborów Chamberlain pragnął nałowić dla stronnictwa zachowawczego, do którego świeżo był przeszedł, głosy wyborców, przedstawił im szereg społecznych reform, które ministeryum w czyn wprowadzać obiecywało. Obietnice te, w jego ustach miały zasłonić jego apostazję i udowodnić, że nie przestał być radykałem, ba, socjalistą nawet. W pierwszym rzędzie tych obietnic figurowała organizacja kas emerytalnych dla każdego uboższego starca, liczącego 65 rok życia. Osobisty plan Chamberlaina, po rozmaitych zmianach, jakim uległ, zeszedł był do następnego minimum: każda jednostka, która zaoszczędzi kapitał, od którego odsetki wyniosą 2 szylingi i 6 pensów, będzie miała prawo do takiejże sumy ze strony państwowego skarbu tak, że otrzymywać będzie na swe utrzymanie 6 szylingów tygodniowo. Wprawdzie tak zredakowany projekt dalekim był od owych złudnych obietnic, które p. Chamberlain szafował niebawem w epoce swego socjalistycznego radykalizmu, ale i takiego nawet projektu nie ma obecnie zamiaru wprowadzić w czyn.

P. Asquith postawił go pod pręgierzem i bełkotliwie obnażył polityczną nieuczciwość i wiarołomstwo człowieka, co robi obietnice pienne i podbuda instynkta nieoświeconej masy dla zaspokojenia swoich osobistych celów. Nieraz już przyszło Chamberlainowi słuchać uragów i wyrzutów: rzadko równie surowych i równie zasłużonych. Wił się pod nimi jak wąż, ubolewał, że dyskusja parlamentarna schodzi do osobistości, co w jego ustach brzmiało jak ironia, ale nie potrafił zmyć z siebie piętna złamania wiary i nie dotrzymania obietnic ubogim warstwom narodu. Dzięki dyscyplinie stronnictwa, projekt Chamberlaina ustanowienia parlamentarnej komisji do zbadania sprawy emerytury został zawotowany przez izbę. Wie ona, że żadnego nowego zbadania tej kwestii nie po-

trzeba, ale że rezultat obrad tej komisji pozwoli p. Chamberlainowi wycofać się w przyzwoty sposób i zważyć winę na innych.

Takie urzędowe pogrzebanie tej sprawy, nie znaczy bynajmniej, ażeby społeczeństwo straciło względem niej interes. Przeciwnie, agitacja za utworzeniem emerytury dla ubogich starców, jest obecnie daleko żywsza, niż była w ostatnich kilku latach. Pryśło wiele złudzeń, wiele uprzedzeń, ale praktyczny zmysł Anglików chce zdać sobie sprawę czy tego rodzaju projekt jest wykonalny i jakie ciężary zwałiłby na barki społeczeństwa. Nie trzeba zapominać, że Anglia posiada już realną podstawę do ewaluacji ich w dwóch raportach urzędowych, naprzód komisji królewskiej z 1895 r. i następnie komitetu pensji emerytalnych, w którym prezydował lord Rothschild.

Pokazało się, że W. Brytania liczy 1,330.000 starych ludzi płci obojej, bez żadnego zabezpieczonego utrzymania, których połowa jest na etacie funduszu ubogich tzw. *Poor laws*. Gdyby, jak istnieją propozycje, zniesiono wszystkie instytucje urzędowego miłosierdzia, a na ich miejsce płacono tym ubogim starcom owe minimum 6 szylingów tygodniowo, to każdy starzec kosztowałby rocznie skarb 13 f. st. a cała masa nie mniej jak 17,290.000 f. st. rocznie!!! Taka cyfra sama jedna wystarcza do rozstrzygnięcia sprawy, ale skoro jedna i najbardziej postępową z kolonii, Nowa Zelandya, świeżo wprowadziła u siebie emerytalne pensje dla starców, dało to powód do nowych badań. Utworzył się komitet centralny, agitujący za tą sprawą i znalazł rzeczniczką w osobie Karola Bootha, autora nieśmiertelnego, pomnikowego dzieła: „*London's Life and Labour*” (Życie i praca Londynu). Odbyły się już liczne zebrania we wszystkich głównych ogniskach przemysłowych, gdzie Karol Booth wykladał swój plan przed delegatami związków robotniczych Trades Unionów. Dotąd te zebrania i konferencje miały ten sam rezultat: jednogłośnie przyjęcie propozycji Bootha. W przyszłym miesiącu ma się zebrać walny wiec, który, jak z góry przewidzieć łatwo, taką samą rezolucję poweźmie. Opierając się na powadze milionowej masy robotników, rezolucja ta położy w rękach nadzwyczaj trudnym położeniu, bo będzie musiał nie dziś to jutro sprawę rozstrzygnąć.

Z wiedeńskiego sezonu koncertowego.

W ubiegłym sezonie mieliśmy we Wiedniu kilka koncertów nowości orkiestralnych. Trzech młodych kompozytorów niemieckich wystąpiło, osobiście dyrygując swoimi najnowszymi utworami. I tak Humperdinck, twórca popularnej opery „*Jaś i Małgosia*”, dyrygował swoją „*Rapsodyą maurytańską*”, Kienzl, znany z swojej opery „*Der Evangelienmann*”, dał nam słyszeć swoją muzykę do „*Don Kiszota*”, na koniec młody Zygfryd Wagner

przedstawił publiczności wiedeńskiej osobiście uwerturę do swojej pierwszej opery „*Der Bärenhäuter*”. Zdaje się jednak, że Niemcy nie mają już teraz żadnych kompozytorów „z bożej łaski”. Prócz Zygfryda Wagnera, o którym jeszcze ostatnio słowa powiedzied nie można, i prócz Ryszarda Straussa, znajdującego się w epoce przejściowej swojej twórczości, odznaczają się dzieła wszystkich młodych kompozytorów, nie wyłączając Gustawa Mahlera, dyrektora wiedeńskiej opery, który osobno jeszcze wystawił swoją wielką symfonię w C-moll, brakiem wszelkiej inwencji, eklektyzmem, a mianowicie szaloną rozwlekłością i nudnością. Widoczne to było ten dokładniej w porównaniu z utworami najnowszych kompozytorów francuskich, którzy mieliśmy prawdziwie wyjątkową sposobność słyszenia w dwóch wielkich koncertach. Były to najwięcej interesujące i kształtujące koncerty całego tegorocznego sezonu. Dwóch młodych wybitnych kapelmistrzów francuskich, Henri Rabaud i Maks d'Ollone, z których pierwszy jest zdolnym kompozytorem, drugi fortepianistą, przybyło z podziwieniem godną bezinteresownością i poświęceniem z Paryża do Wiednia umyślnie w tym celu, aby publiczność tutajże zapoznała z najnowszą francuską literaturą orkiestralną.

Trzeba wiedzieć, że muzyka orkiestralna we Francji datuje się dopiero od niedawnego czasu. Hector Berlioz był właściwie pierwszym francuskim symfonikiem, a po za nim znane były Europie dotychczas tylko poematy symfoniczne Saint-Saënsa. Tymczasem panowie Rabaud i d'Ollone zapoznali nas ni mniej ni więcej jak z dziewięciu nowymi kompozytorami oraz blisko dwudziestu nieznanymi kompozytorami, przeważnie wielkiego stylu. Niestety, nie tutaj miejsce na obszerniejszy rozbiór tej nowej francuskiej muzyki, stanowiącej obfity materiał do osobnego artykułu, teraz nadmienię tylko, że wszystkie te kompozycje, choć powstałe pod widocznym wpływem najwskześniejszych instrumentalistów Berlioz i Wagnera, znaczący talent twórczy, lekkość i oryginalność instrumentalnej, wyrafinowany smak estetyczny, oraz ten prawdziwy francuski „esprit”, o jakim Niemcy nie mają wyobrażenia.

Oprócz tych dwóch koncertów orkiestralnych mieliśmy jeszcze w ubiegłym sezonie trzy koncerty francuskie i to znakomitej pianistki Klotyldy Kleeberg, pomimo swego niemieckiego nazwiska. Francuzki w każdym calu, dalej pierwszego barytona opery paryskiej Lasalla, na koniec koncert sławnej pianistki i kompozytorki Cecylii Chaminade, złożony z własnych jej utworów. Jako kompozytorka na fortepian i na śpiew ma panna Chaminade ustaloną już sławę w całej Europie, ciekawem jednak było dowiedzieć się, iż obecnie komponuje operę pod tytułem: „*Zera*”, oraz, że z zamiłowaniem dyryguje orkiestrą.

Mieszka w Wiedniu od lat wielu stary, powszechnie szanowany, nadworny fabrykant fortepianów Ludwik Bösendorfer. Z powodu

jubileuszu cesarza rozpiął on konkurs na koncert fortepianowy z orkiestrą, na który nadesłano aż 72 utworów. Z tej okazałej liczby jury, do której należał także prof. Leszetycki, podała trzy najlepsze do ścisłego konkursu, który rozstrzygnąć miała publiczność. — W palmową niedzielę odbył się ten ciekawy koncert. Każdy z kompozytorów odegrał swój utwór a pierwszą nagrodę uzyskał Węgier Dohanyi, drugą młody, w Wiedniu zamieszkały Holenderczyk Jan Brands-Buys, ożeniony od roku z Polką, panną Dziembowską. Trzecią nagrodę otrzymał Niemiec Behm z Berlina.

Dwie nadzwyczajności mieliśmy jeszcze w Wiedniu na zakończenie sezonu koncertowego. Pierwszą z nich był koncert „Chóru synodalnego”, przybyłego z Moskwy na uroczystość otwarcia cerkwi prawosławnej w Wiedniu, drugą wystawienie dwóch oratorijskich Perosięgo. Pierwsze z nich „*Wskrzeszenie Łazarza*” wystawione zostało w Wiedniu miejscowymi siłami, drugie znacznie lepsze „*Zmartwychwstanie Chrystusa*” przedstawił nam osobiście sam kompozytor, przywołując ze sobą z Włoch chór i orkiestrę w liczbie przeszło 200 osób.

Don Lorenzo Perosi, od niedawnego czasu tak sławny, nie jest geniuszem, jakim go zrobił Ricordi, ani też człowiekiem bez talentu, jakim go okrzyknęła krytyka niemiecka. Utwory jego nie porywają, ale też nie nudzą; nie ma w nich nadzwyczajności, lecz nie ma i miernoty, — w każdym razie przebijają z nich silna indywidualność kompozytora, który nie chce trzymać się utartego szablonu, a nie mogąc dla swojego wieku młodzieńczego wyrobić sobie jeszcze jednolitego stylu, próbuje wszystkich stylów i umie je bardzo zręcznie z sobą powiązać. I tak orkiestrę instrumentuje na sposób Wagnerowski, daje jej główną rolę i wydobywa z niej nastrój, przypominający „*Stimmung*” Wagnera. Chór prowadzi w duchu Palestriny, lecz mając o małą tylko rolę. Perosi utrudnił sobie zadanie kompozytorskie, trzymając się ściśle Pisma świętego.

Oba oratoria a szczególnie „*Zmartwychwstanie*” przyjęte zostały przez publiczność bardzo przychylnie.

O przyszłości ks. Perosięgo jako kompozytora nie jeszcze powiedzieć nie można ze względu na jego bardzo młody wiek; być może, że zostanie on drugim Palestryną czyli wskrzesicielem muzyki kościelnej, lecz zdaje się, iż miałby on większe zdolności do pisania oper, gdyby go suknia duchowna na zawsze od tego nie wstrzymywała.

Sam on.

Polska premiera w Paryżu.

Paryskie stowarzyszenie młodzieży polskiej pod nazwą Koło, istniejące od kilku miesięcy, którego nie należy mieszać z Kołem polskiem artystycznym i literackim, da-

ło niedawno koncert i przedstawienie amatorskie na dochód swej kasy. W koncercie wzięli udział znani w Paryżu artyści i artyści, panny: Abramowiczówna pianistka i Szeptyńska śpiewaczka, p. F. Godębski, skrzypek, oraz młody śpiewak p. Popowski z Warszawy, który kształcił się w Mediolanie. a teraz w dalszym ciągu kształci się w Paryżu i przygotowuje do kariery scenicznej. Wykonanie przez p. Popowskiego znanej arii z kurantami ze „*Strasznego dworu*” Moniuszki świadczy, że ma przyszłość przed sobą.

Amatorowie odegrali przysłówie dramatyczne Chęcińskiego p. t. „*Cicha woda brzegi rwie*” oraz „*Zapóźno*” szkice dramatyczny w jednej odsłonie, prozą przez Władysława S. Reymonta, na ten wieczór wyłącznie napisany. Naturalnie niezwykła ta premiera polska w Paryżu wzbudziła wielkie zaciekanie publiczności.

Treść tego „szkicu dramatycznego” jest następująca:

W dworku wiejskim przed 15 laty odegrał się straszny dramat. O pannę Maryę oświadczył się młodzieniec, który ją kochał i którego ona kochała, lecz ona chciała go wypróbować, czy mu nie o posag „chodzi”, i lekkomyślnie odmówiła młodzieńcowi, mimo jego błagań i gróźb, że sobie życie odbierze. Chciała mu zabiedz i drogę w ogrodzie wyznaczyć miłość: nie zdążyła, bo odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru. Panna Marya oddała się modłom i pokucie.

Pamięć tego dramatu zdaje się ciężyć nad spokojnym dworkiem. Pocziwy i gospodarny pan Jan dotąd zupełnie wystarczał swej żonie: od pewnego czasu wszystko się zmieniło, w domu nieład, pani Kamilla z męża szydzi, ulega niewytłumaczonym jakimś smutkom i cierpieniom. Słucha ze zgrozą opowiadań swej kuzynki Maryi o dramacie jej życia. A w duszy tej nieszczęśliwej wszystkie wspomnienia odnowiły się jeszcze do tego stopnia, że w halucynacji widzi ślady krwi ukochanego na progu domu. Przyczyną tego jest przybycie kolegi pana Jana, poety i literata Wiktora, który jest uderzająco podobny do owego samobójcy...

Jego to obecność panią Kamillę wyprowadza z równowagi. Pomimo wzajemnego unikania się i pomimo wysiłków ukrywania swoich uczuć, ulegają w końcu uczuciu. Wiktoria opowiada, że jego brat przed 15 laty zastrzelił się dla kochanki Maryi, Kamilla mówi mu, że to było tu, w tym domu. Wiktoria chce wyjechać. Groźba wyjazdu popycha Kamillę do wyznania mu swych uczuć. Już decydują się na wspólną ucieczkę, lecz proza życia w osobie parobka Walka wyrwa Kamillę z marzeń, przypomniała otoczenie, z którym zrosła się już i z którego wyrwać się nie może. Wiktoria opuszcza dom przeklęty, nieszczęśliwszy jeszcze od brata, którego widmo, zda się, przyprowadziło go o zgubę.

Próba ta sceniczna wybitnego powieściopisarza jest ciekawa i obiecująca. W sztuce tej zawiera się bez wątpienia materiał dra-

Jakóbina Vanesse.

Powieść

WIKTORA CHEREBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

Nie ma w tem nic dziwnego, gdy młodzieniec, obdarzony dobrym gustem, od pierwszego spojrzenia zakocha się w ładnej paninie; lecz jego podbiła nie tyle delikatność twarzy, ile raczej dziwny wdzięk rozlany w całej osobie.

Pierwszy raz zaszło w jego sercu coś niezrozumiałego...

Upłynął miesiąc od tego spotkania, a jednak nie mógł zapomnieć o niej: bezustannie widział jej postać w wyobraźni i dowiedziawszy się, że usiłowała odebrać sobie życie, ucoził się jeszcze więcej pod władzą jej uroku.

Zostawszy mimowoli dobrym agronomem, lecz wierny skłonności dawnym, zachował zamiłowanie do matematyki, a matematyce często — nie wiedząc nawet o tem — posiadają usposobienie romantyczne.

Obiad przeszedł przyjemnie; u pani Sauvigny obiady bywały smaczne i w obecności jej nie kłócono się nigdy.

Jakkolwiek doktor Oserel i pan Saintis nie lubili się, nie okazali jednak sobie tego. Doktor rozprawił o zajmujących sprawach medycznych — i muzykę słuchał go uważnie; pan Saintis opowiadał anegdotki teatralne i zakulisowe, które nap zór sprawiły doktorowi przyjemność.

Pani Sauvigny, jak pszczoła zbierająca miód ze wszystkiego, słuchała i anegdotek i rozpraw naukowych.

Według zwyczaju, na kawę przeszli do oszklonej galeryi, w której mężczyźni mogli palić.

Pani domu, pragnąc, by palono przy niej, dła ośmieszenia gości zapalała niekiedy papierosa, lecz po chwili odrzucała go.

Nagle doktor zawołał:

— Jesteśmy wszyscy domowi, więc możemy mówić otwarcie! Pragnę, moi panowie, opowiedzieć wam wypadek jeszcze dziwniejszy od tego, o którym mówiłem przy stole. Oświadcze sami. Pani Sauvigny, kobieta tak napozór niewinna, jak ją widzicie powzięła projekt najniedorzeczniejszy, najdziwniejszy, najfantastyczniejszy. Nie powiedziała mi o nim, lecz domyśliłem się — i dziś jestem pewnym zupełnie. Wiadomo wam, panowie, o przegrodzie panny Vanesse i o zamachu samobójczym, spełnionym po drugiej stronie rzeki, naprzeciw tego okna. Podreparowałem ją i nie przyznaję sobie wielkiej zasługi, gdyż

uszkodzenie było niewielkie. Jutro uwolnię ją z zakładu. Otóż, panowie, albo jestem idyotą, albo pani Sauvigny postanowiła zatrzymać ją przy sobie. Czy mam słuszną, szanowna pani?

Ten nagły i niespodziewany atak zmieształ ją nieco.

— Dlaczego projekt mój nazywa pan niedorzeczny? — odrzekła, rumieniąc się jak pensjonarka, schwytna na czytaniu książki zabronionej lub pisaniu listu miłosnego.

— Przedewszystkiem, niech pani będzie tak dobrą i odpowie na pytanie: co pani zamierza uczynić z tej panny?

— Zakład w niej, jeżeli to rzecz możliwa, jej nieszczęśliwe urodzenie, uwolnić ją od jej losu smutnego, od niegodziwego otoczenia, od zniechęcenia, od myśli czarnych, zrobić pewien ład w jej sumieniu, dać jej trochę szczęścia w życiu, pogodzić z tym biednym światem i w danej chwili wydać ją za uczciwego człowieka... Ponieważ stawia mnie przed sądem — dodaje, zwracając się do pana Belfons — więc proszę powiedzieć mi, co pan w tem widzi tak niedorzeczności?

Pan Belfons nic nie odrzekł, lecz pochyleniem głowy i uśmiechem przyjaznym dał do zrozumienia, że wargacya jej podobna mu się.

— Nie zeszliśmy się tu po to, by prawić sobie grzeczności — rzekł doktor, namarszczywszy brwi. — Kobieta, którą szanujemy wszyscy, zamierza popełnić wielką nieroztropność; największym przyjacielem będzie ten, który z całą otwartością ostrzeże ją o niebezpieczeństwie. Nazywam niedorzecznym zamiar, który może autorowi swemu sprawić wielką przykrość, a nikomu nie przyniesie korzyści. Pochlebiam pani sobie przerobić pannę Vanesse?... odpowiem na to: szkoda, że nie mam kapelusza na głowie, bo uchyliłbym go przed takim szaleństwem!

Zwróciła się do pana Belfons, jedynego z sądjów dla niej przychylnego i rzekła:

— Oto jak traktują mnie!

Następnie odpowiedziała doktorowi:

— Miałam w ogrodzie krzak róży, który nie kwitł nigdy. Zastanowiwszy się nad przyczyną tego objawu, kazałam przenieść go na miejsce odkryte, słoneczne, w ziemię dobrą i krzak w tym roku pokrył się kwiatami...

— Przykro mi, że porównanie pani jest tak nietrafne. Krzaki różane stworzone na to, by wydawały różę, a panna Vanesse nie ma nic wspólnego z roślinami, ozdabiającymi ogród pani. Niech pani przesadzi w ziemię inspektową małą pokrzywę; nie wątpię, że wyrosnie, ale będzie tylko pokrzywą wielką i ten mocniej będzie parzył palce... Obser-

wowałam trochę tę małą blondynkę przez cały czas jej pobytu w zakładzie, lecz pani odrzuca moje świadectwo. Wiem, że wiele rozmawiała pani o niej z siostrą Eulalią, pielęgnującą ją podczas choroby i oż ona powiedziała?

— Będę zupełnie szczera. Siostra Eulalia nie dodała mi odwagi; użalała się, że nie mogła od niej wydobyć trzech słów, że uważa ją za dumną, niewdzięczną, lekceważącą wszystkich i wyraziła się: „*Dziewczyna ta ma serce twarde jak kamień, lecz wierzę, że jest czystą i niewinną.*”

— Siostra Eulalia jest osobą bardzo rozsądną. I ja przypuszczam, że dziewczyna ta pozostała niewinna, pomimo przebywania w atmosferze tak nieczystej. Ale niech pani nie wierzy w niewinność bezwzględna. Długo czasu leczylem pewną starą pannę, żyjącą skromnie i uczciwie w towarzystwach, w których bawiono się bardzo. Udawała, że pogardza przyjemnościami, na które nie pozwalała jej pruderya, lecz jestem przekonany, że w duszy zazdrościła grzesznikom i grzesznicom, a ponieważ każdy człowiek potrzebuje rozrywki, więc i ona znajdowała ją w wylewaniu łez na cały rodzaj ludzki. Była nie złośliwa, lecz złą... Chce pani wiedzieć kim jest panna Vanesse? niech pani posłucha... Jest dziewczę rozgoryczoną, a ja lubię tylko dziewięć pogodną.

(C. d. n.)

